

Schodków było niewiele. Liczyłem je setki razy, zarówno wchodząc, jak schodząc, lecz liczba wyleciała mi z głowy. Nigdy nie wiedziałem, czy „raz” trzeba mówić już na chodniku, „dwa” z nogą na pierwszym stopniu i tak dalej, czy też chodnika nie liczyć. Z tym samym się borykałem, wchodząc na stopień najwyższy. W drugą stronę, to znaczy z góry na dół, było to samo, naprawdę, nie ma w tym cienia przesady. Powiedzmy sobie szczerze, nie wiedziałem, gdzie zacząć ani gdzie skończyć, ot co. Doszedłem przez to do trzech kompletnie różnych liczb i nigdy nie wiedziałem, która z nich jest właściwa. Kiedy więc mówię, że liczba wyleciała mi z głowy, chodzi mi o to, że wszystkie trzy wyleciały mi z głowy. Sęk w tym, że gdybym sobie przypomniawszy jedną z nich, bo przecież gdzieś w pamięci ona na pewno tkwi, nie mógłbym z niej jedynej wywieść dwóch pozostałych. A gdybym sobie przypomniawszy nawet dwie, i tak nie poznałbym trzeciej. Otóż to, aby wszystkie trzy znowu były mi znane, musiałbym sobie przypomnieć wszystkie trzy jednocześnie. Pamięć to rzecz zabójcza. Nie trzeba więc myśleć o niektórych rzeczach, o tych, co leżą na sercu, chociaż właściwie to trzeba, bo jeśli się nie myśli, to ryzykuje się, że będą się przypominać po trochu. To znaczy, trzeba o nich myśleć codziennie, kilka razy, przez chwilę, dobrą chwilę, aż znikną na zawsze pod grubą warstwą błota. To bezapelacyjne.

[285]

Zresztą liczba schodków nie ma tutaj znaczenia. Godne zapamiętania było jedynie to, że było ich niewiele, i to zapamiętałem. Nawet dla dziecka niewiele, w porównaniu z innymi, jakie się zna z widzenia, z wchodzenia i schodzenia, i stąd, że grywa się na nich, w kości lub w inne gry, których nazw nawet się nie pamięta. Cóż więc dla dorosłego, czy nawet przejrzałego?

Upadek więc nie był groźny. Padając, usłyszałem, jak zatrzasnęły się drzwi, co w krytycznym momencie przyniosło mi pewną ulgę. Bo oznaczało to, że nikt nie wybiega za mną z kijem

na ulicę, by mnie publicznie obić. Gdyby zapowiadało się na to, nie zamknięto by drzwi, zostawiono by je otwarte, by ci, co stali w przedsionku, mogli nacieszyć oczy dawaną mi nauczka i wyciągnęli z niej wnioski. Tym razem zadowolono się więc samym wyrzuceniem mnie za drzwi. Całe to wnioskowanie zdążyłem przeprowadzić, nim się znalazłem w rynsztoku.

W tej sytuacji nie musiałem się zaraz podnosić. Oparłem łokieć o chodnik, dziwne pamięta się rzeczy, złożyłem ucho w zagłębieniu dłoni i zacząłem myśleć o mojej sytuacji, choć przecież dobrze ją znałem. Ledwie jednak ten wdzięczny, wręcz oniryczny widoczek, z dzikimi różami i głogiem, zdążył przede mną rozkwitnąć, moją zadumę przerwało nieco słabsze, acz niewątpliwe drugie trzaśnięcie drzwi, tak że podniosłem wzrok, przywarłem rękami do ziemi i naprężyłem nogi, by rzucić się do ucieczki. Ale to tylko kapelusz szybował w moją stronę, wirując w powietrzu. Złapałem go i włożyłem na głowę. Byli nadzwyczaj uczciwi, w oczach swojego Boga. Kapelusz mogli zatrzymać, lecz skoro był mój, a nie ich, uczciwie mi go zwracali. Ale nastrój już przysł.

[286]

Opisać ten kapelusz? Lecz jak i po co właściwie? Kiedy moja głowa osiągnęła rozmiary, nie powiem ostateczne, ale maksymalne, ojciec powiedział do mnie: Chodź, synu, kupimy twój kapelusz, jakby istniał on gdzieś, w ściśle określonym miejscu, od niepamiętnych czasów. I ruszył prosto do niego. Ja w tej sprawie głosu nie miałem, tak samo kapelusznik. Zastanawiałem się nieraz, czy ojciec nie chciał mnie aby upokorzyć, czy nie był zazdrosny o to, że jestem młody i ładny, a w każdym razie świeży, gdy on sam był już stary, obrzmiały i sinawy. Od tego dnia nie wolno mi było już wychodzić z gołą głową, wiatr nie mógł mi już targać kasztanowej czupryny. Czasem, w bocznych uliczkach, zdejmowałem go jednak, lecz trząsłem się wtedy ze strachu. Codziennie rano i wieczór musiałem go też czyścić. Moi rówieśnicy, z którymi mimo wszystko stykałem się czasami, nabijali się ze mnie. Mówiłem sobie wtedy: Nie o kapelusz tu chodzi, kpią akurat z kapelusza, bo z tego kpić jest najłatwiej, brak im po prostu finezji. Zdumiewało mnie zawsze, jak mało finezyjni są moi rówieśnicy, sam posiadałem duszę, która od rana do nocy

nieustannie się wiła, ścigając samą siebie. Chociaż może w ten sposób chcieli być dla mnie mili, jak ci, co wyśmiewają długi nos u garbusa. Po śmierci ojca mogłem się wreszcie uwolnić od tego kapelusza, już nic nie stało na przeszkodzie, lecz nie zrobiłem tego. Opisać go? Ale jak? Nie, innym razem, nie teraz.

Podniosłem się i ruszyłem. Nie wiem już, ile mogłem mieć lat. To, co się wydarzyło, nie było niczym takim, co upamiętniałoby datę. Nie był to żaden początek ani też żaden koniec. Było to tak podobne do tylu innych początków i tylu innych końców, że nic mi to już nie mówi. Nie będzie jednak przesadą, jeśli powiem, że byłem w sile wieku, w pełni władz umysłowych, jak to się chyba mówi. O tak, co do władz umysłowych, to posiadałem je w pełni. Przeszedłem przez ulicę i odwróciłem się w stronę domu, z którego mnie wyrzucono, choć nigdy tego nie robię, skądkolwiek bym odchodził. Był doprawdy prześliczny. Z pelargoniami w oknach. O które tyle lat dbałem. Cwane są pelargonie, lecz w końcu dałem im radę. W tym domu jednak najbardziej urzekały mnie drzwi, u szczytu tych kilku schodków. Jak by je tu opisać? Były masywne, zielone, a w lecie oblekano je czymś w rodzaju pokrowca w białozielone pasy z otworem na kołatkę z kutego żelaza, która waliła jak grom, i szczelinę na listy, zakrytą mosiężną klapką na sprężynkach, która chroniła przed kurzem, muchami i sikorami. I proszę, udało się. Po obu stronach drzwi wznosiły się dwa pilastry tego samego koloru, z których w prawym tkwił dzwonek. Zasłony były dobrane z nienagannym gustem. Nawet dym unoszący się z jednego z kominów, z komina kuchennego, zdawał się snuć i rozwiewać smętniej niż inne w sąsiedztwie i był bardziej niebieski. Spojrzałem w swoje okno na trzecim, ostatnim piętrze. Było wyzywająco otwarte. Sprzątanie, na pełnych obrotach. Za kilka godzin okno zostanie zamknięte, zasłony zasunięte, a wszystko spryskane karbolem. Znam ich. Chętnie bym umarł w tym domu. Oczami wyobraźni ujrzałem nagle, jak otwierają się drzwi i wyjeżdżają z nich moje stopy.

Gapilem się bez żenady; wiedziałem, że mnie nie śledzą skryci za zasłonami, choć mogliby, gdyby chcieli. Znałem ich jednak. Wrócili do swoich zajęć, każdy do swego kąta.

I cóż im takiego zrobiłem?

[288] Słabo znałem to miasto, w którym się urodziłem i gdzie stawiałem pierwsze kroki, a później wszystkie następne, które w tak małym stopniu pogmatwały mój ślad. Wychodziłem tak rzadko! Co jakiś czas podchodziłem do okna, rozchylałem zasłony i wyglądałem na zewnątrz. Lecz zaraz wracałem w głąb pokoju, tam gdzie stało łóżko. W tej całej masie powietrza czułem się źle, nie-swojo, a gmatwanina niezliczonych perspektyw, jakie się otwierały przede mną, zupełnie zbijała mnie z tropu. Lecz w owym czasie umiałem jeszcze działać, gdy było naprawdę trzeba. Najpierw jednak wznosiłem oczy do nieba, skąd spływa na nas owa słynna pomoc, gdzie nie istnieją drogi, gdzie błądzi się swobodnie, tak jak na pustyni, a wzrok, gdziekolwiek spojrzeć, nie napotyka nic oprócz granicy widzenia. To właśnie wskutek tego wznoszę oczy do nieba, gdy nic się nie układa, właściwie to już nudne, lecz nic na to nie poradzę. Bo niebo, choćby pochmurne, a nawet ołowiane albo zasnute deszczem, w tym ślepym chaosie miasta, wsi, samej ziemi, daje chwilę wytchnienia. W młodszy wiek myślałem, że dobrze byłoby żyć na równinie, i wybrałem się do Luneburga, na tamtejsze wrzosowiska. Z wizją równiny w głowie jechałem na wrzosowiska. Niejedno wrzosowisko leżało znacznie bliżej, lecz jakiś głos mi mówił: Powinien pan pojechać – rzadko mówię do siebie *per ty* – na wrzosowiska leżące opodal Luneburga. To pewnie częśćka *lune* grała tu jakąś rolę¹. Okazało się jednak, że wrzosowiska tamtejsze zupełnie mnie zawiodły, ale to całkowicie. Wróciłem zawiedziony, lecz i z poczuciem ulgi. Tak, nie wiem dlaczego, lecz zawsze, kiedym był zawiedziony, a w młodości bywałem dość często, towarzyszyło temu lub przychodziło w ślad za tym głębokie poczucie ulgi.

Ruszyłem. Ależ to był chód! Dolne kończyny zupełnie zesztyniały, jakby natura odmówiła mi kolan, a stopy rozstawione w jedną i drugą stronę względem linii marszu niemal pod kątem prostym. Tułów natomiast, jakby dla równowagi, był miękki jak worek wypchany szmatami i chygotał się nieprzytomnie w rytm kapryśnych podskoków miednicy. Próbowałem nieraz nadrabiać te braki, prostowałem pierś, zginałem kolana i stawiałem

stopy – a miałem ich jakby pięć, a może nawet sześć – równo jedna za drugą, lecz zawsze kończyło się to w taki sam sposób, to znaczy utratą równowagi i po chwili upadkiem. Nie można chodzić, myśląc o chodzeniu, tak jak nie myśli się o wzdychaniu, i ja, gdy nie myślałem o krokach, stawiałem je właśnie tak, jak opisuję to wyżej, a gdy zaczynałem zwracać na to uwagę, po kilku krokach wykonanych poprawnie zaraz się przewracałem. Dałem więc sobie z tym spokój. Cały ten sposób chodzenia wywodzi się, według mnie, przynajmniej w jakimś stopniu, ze skłonności, której do końca nigdy się nie wyzbyłem, a która odcisnęła swe piętno, co było do przewidzenia, w latach, gdy jest się najbardziej wrażliwym, gdy się wyrabia charakter – chodzi mi o ów okres, w całym jego bezmiarze, od pierwszych kroków przy krześle po trzecią podstawową, na której skończyłem naukę. Otóż miałem okropny zwyczaj, że kiedy się zsiakałem lub narobiłem w majtki, co mi się przytrafiało dość regularnie rano, gdzieś około dziesiątej lub wpół do jedenastej, chciałem w tym stanie dotrwać jak gdyby nigdy nic do samego wieczora. Myśl, że mam się przebierać albo przyznać się matce, która tylko czekała, aby mi w czymś dopomóc, była nie do przyjęcia, nie wiem właściwie dlaczego, i cały dzień aż do nocy łąziłem z tym owocem nieopanowania, cuchnącym i piekącym, pomiędzy nogami lub przyklejonym do tyłka. To właśnie stąd ten chód, ostrożny, na sztywnych nogach, stawianych dość szeroko, i to zawzięte kiwanie tułowiem, mające pewnie na celu zmylenie otoczenia, sugestię, że czuję się świetnie, jestem pełen wigoru, niczym się nie przejmuję, i uwiarygodnienie podawanej przeze mnie przyczyny sztywności kończyn, a tą był dziedziczny reumatyzm. I mój młodzieńczy zapał, w tej mierze, w jakiej go miałem, strwoniłem właśnie na to; stałem się nieco przedwcześnie zgorzkniały i nieufny, lubiłem się kryć po kątach i tkwić w pozycji leżącej. Żałosne młodzieńcze pomysły! Niczego nie wyjaśniają. Nie ma więc co się przejmować. Mędrkujmy, ile się da, mgła i tak nie ustąpi.

Było pogodnie. Szedłem brzegiem ulicy, tuż obok krawężnika. Kiedy już zacznę iść, chodnik mi nie wystarczy, choćby i był naj-

szerszy; poza tym nie znoszę przeszkadzać innym. Zatrzymał mnie policjant i rzekł: Jezdnia jest dla pojazdów, dla pieszych jest chodnik. Brzmiało to jak Stary Testament. Przeszedłem więc na chodnik, niemal się sumitując, i podążyłem dalej. Lecz nim zdołałem zrobić może dwadzieścia kroków, niemiłosiernie przy tym potrącany, musiałem się wywrócić, by nie strutować jakiegoś dzieciaka. Miał na sobie, pamiętam, uprząż z dzwoneczkami; wyobrażał sobie pewnie, że jest kucykiem albo perszeronem, bo i czemuż by nie. Rozdeptałbym to dziecko z największą przyjemnością, nienawidzę dzieciarni, pomijając już to, że oddałbym mu przysługę, bałem się jednak reakcji. Rodzice. To prawie wszyscy. I to nas właśnie zniewala. Dla tych ohydnych stworzeń, dla ich wózków, kółek i lizaków, wrotek i hulajnóg, mamus, tatuśków i nianiek, dla tych balonów i piłek, krótko mówiąc, dla tego całego głupiego ich szczęścia powinien być wytyczony specjalny pas ruchu, zwłaszcza na tłocznych ulicach. Upadłem więc, co pociągnęło za sobą upadek jakiejś starszej damy, ważącej chyba że sto kilo, całej w koronkach powyszywanych dżetami. Jej wrzaski ściągnęły szybko tłum gapiów. Miałem szczerą nadzieję, że złamała sobie kość biodrową, stare damy często łamią sobie te kości, niestety nie dość często. Wykorzystując tumult, ulotniłem się stamtąd z przekleństwami na ustach, jakbym to ja był ofiarą. Zresztą, czyż nią nie byłem? Ba, lecz jak to udowodnić! Dzieci nikt nie linczuje, cokolwiek by zrobiły, z miejsca im się odpuszcza. A ja bym, owszem, linczował, i to z wielką rozkoszą; nie mówię, że sam bym to robił, to znaczy własnymi rękami, nie jestem specjalnie porywczy, podjudzałbym jednak innych, a potem, po robocie, stawiałbym im kolejkę. Ledwo ruszyłem dalej tym swoim marszo-pląsem, znów mnie zatrzymał policjant, wypisz wymaluj jak pierwszy, do tego stopnia, że przez chwilę nie byłem pewien, czy aby to nie ten sam. Zwrócił mi uwagę, że chodnik jest dla wszystkich, jakbym w najoczywistszy sposób nie należał do tej kategorii. Czy mam zejść do rynsztoka? spytałem, nie mając ani przez chwilę na myśli Heraklita². Zejdź pan, gdzie chcesz, powiedział, tylko zostaw pan trochę miejsca dla innych. Wziąłem na cel jego górną wargę, która miała co najmniej

trzy centymetry grubości, i dmuchnąłem mu w nos. Zrobiłem to chyba w miarę naturalnie, jakbym głęboko westchnął, przytłoczony nawałą nieszczęść. Ale on ani drgnął, zahartowany widać na oględzinach zwłok albo na ekshumacjach. Jeśli nie umiesz pan chodzić jak wszyscy, powiedział, to nie wychodź pan z domu. Uważałem dokładnie tak samo. A to, że zakładał, iż w ogóle mam jakiś dom, sprawiało mi satysfakcję. Ulicą przechodził akurat kondukt pogrzebowy, jak to się czasem zdarza. Wzbudziło to istny popłoch wśród kapeluszy i rąk, które zawirowały w zygzakowatym ruchu. Ja, gdybym już miał się żegnać, to starałbym się to robić dokładnie, jak należy: nasada nosa, pępek, lewy i prawy sutek. Tymczasem w ich wykonaniu, pośpiesznym i niechlujnym, krzyż stawał się jakimś zagmatwanym kłębem, pozbawionym kompletnie czci i dostojęstwa: kolana wypadały gdzieś poniżej brody, a ramiona właściwie nie wiadomo gdzie. Najbardziej zagorzali zamarli w bezruchu, mamrocząc coś pod nosem. Policjant zaś wyprężył się jak struna, zamknął oczy i zasalutował. W dorożkach sunących w orszaku dostrzegłem żałobników, wyraźnie ożywionych jakąś rozmową; wspominali zapewne życie zmarłego lub zmarłej. Słyszałem, tak mi się zdaje, że wystrój karawanu nie jest w obu wypadkach zupełnie taki sam, lecz nigdy nie ustaliłem, na czym polega różnica. Konie popierdywały i sadyły kupy, jakby jechały na targ. Nie widziałem, żeby kto klęknął.

[291]

Lecz u nas ostatnia droga to bez mała wyścigi, próżno przyśpieszać kroku; już ostatnia dorożka, ta ze służbą, przejeżdża, i już po odpoczynku, ludzie znowu gdzieś pędzą i znowu trzeba uważać. Więc trzeci raz przystanąłem, tym razem z własnej woli, i zatrzymałem dorożkę. Pewnie pod wpływem wrażenia, jakie wywarła na mnie ta cała kawalkada, te wszystkie powozy z ludźmi, którzy z takim zapalem w ich wnętrzach rozprawiali. Dorożka. Czarne pudło z małymi okienkami chwiejące się na resorach. Siedzi tam człowiek skulony i wdycha zapach stęchlizny. Czułem, jak mój kapelusz ociera się o sufit. Po chwili się pochyliłem i zasunąłem szyby. Po czym znowu usiadłem, jak przedtem, tyłem do jazdy. Zapadałem już w drzemkę, gdy ock-

— nął mnie głos dorożkarza. Uznał pewnie, że nie usłyszę go przez zamknięte okna, więc zszedł i uchylił drzwiczki. Z całej jego postaci widziałem tylko wąsy. Dokąd? zapytał. Zszedł z kozła specjalnie po to, by zadać mi to pytanie. A ja myślałem, że jestem już daleko! Zacząłem szukać w pamięci nazwy jakiejś ulicy albo znanej budowli. Odsprzedałby pan tę dorożkę? spytałem. I dorzuciłem zaraz: Samą dorożkę, bez konia. No bo na co mi koń? Lecz na co i taka dorożka? Mógłbym się w niej chociaż wyciągnąć? I kto przynosiłby mi jedzenie? Do zoo, odpowiedziałem. Rzadko się zdarza stolica, w której nie byłoby zoo³. I nie jedź pan za szybko, dodałem. Roześmiał się. Rozbawił go pewnie pomysł, że do zoo mógłby jechać za szybko. Albo że miałby się rozstać z dorożką. Choć może po prostu to ja, sama moja osoba, widok mojej postaci we wnętrzu dorożki – głowa gdzieś w mrokach sufitu, kolana na tle szyby – do tego stopnia odmieniał jej wygląd, że dorożkarza zatkało i na moment odebrało mu pewność, czy to jego dorożka, czy w ogóle jest to dorożka. Ale zerknąwszy na konia, uspokoił się zaraz. Zresztą, czy to wiadomo, z czego człowiek się śmieje? Jego śmiech w każdym razie był krótki, co raczej wskazywało, że jednak nie o mnie chodzi. Zamknął drzwiczki i wskoczył z powrotem na kozioł. Po chwili ruszyliśmy.

Tak, choć może to wydać się dziwne, miałem jeszcze w tym czasie trochę grosza. Co do sumki, którą ojciec zostawił mi w darze na łożu śmierci, nie stawiając żadnych warunków, to ciągle się zastanawiam, czy mi jej nie skradziono. Potem nic już nie miałem. Niemniej moje życie jakoś toczyło się dalej, nawet po mojej myśli do pewnego stopnia. Gdy popada się w stan, który można by nazwać zupełną niemożnością kupienia czegokolwiek, najgorszą rzeczą jest to, że trzeba ruszyć się z miejsca. Rzadko się zdarza, na przykład, by komuś, kto jest bez grosza, przynoszono jedzenie tam, gdzie się melinuje, przynajmniej co jakiś czas. Trzeba się wtedy ruszyć, trzeba się podnieść i wyjść, przynajmniej raz na tydzień. Poza tym na tym etapie nie ma się już, rzecz jasna, żadnego adresu stałego, to wręcz nieuniknione. Dlatego też z opóźnieniem dotarła do mnie wiadomość, że jestem poszu-

kiwany w dotyczącej mnie sprawie. Nie pamiętam już jak. Nie czytywałem gazet. Nie przypominam też sobie, bym w tamtych latach z kimś gadał, chyba że o jedzeniu, może trzy, cztery razy. Tak czy inaczej jednak, coś do mnie w końcu doszło, inaczej bym nigdy nie trafił do notariusza Niddera – dziwne, jak pewne nazwiska nie wylatują z głowy – a on by mnie nigdy nie przyjął. Jął sprawdzać moją tożsamość. Zabrało to trochę czasu. Pokazałem mu moje inicjały wybite sreberkiem w środku kapelusza; nie dowodziły wprawdzie niczego, ale zwiększały prawdopodobieństwo. Podpisz pan tu, powiedział. Bawił się obłą linijką⁴, którą można by zatłuc byka. I przelicz pan, powiedział. Była przy tym obecna jakaś młoda kobieta, prawdopodobnie przekupna, zapewne w roli świadka. Wsunąłem pieniądze w kieszeń. To lekko-myślne, powiedział. Przyszło mi na myśl, że najpierw powinien był mi kazać przeliczyć, a później dopiero podpisać, tak byłoby logiczniej. Gdzie mogę pana znaleźć w razie potrzeby? zapytał. Gdy byłem już na dole, coś mi się przypomniało. Od kogo są te pieniądze? spytałem, wróciwszy na górę. I dodałem, że chyba mam prawo to wiedzieć. Wymienił jakieś nazwisko, którego już nie pamiętam, nazwisko jakiejś kobiety. Możliwe, że była to ta, co brała mnie na kolana i tuliła do siebie, gdy byłem jeszcze w pieluchach. Czasami to wystarcza. Podkreślam: gdy byłem w pieluchach, bo później jest już za późno na tego rodzaju pieszczoty. Więc właśnie dzięki tej forsie jeszcze trochę jej miałem. Lecz mało, bardzo mało. Na całą moją przyszłość było to tyle co nic, chyba że moje prognozy grzeszyły pesymizmem. Zastukałem w ściankę za sobą, tuż obok kapelusza, prosto w plecy woźnicy, jeżeli dobrze wyczułem. Z obicia wzbila się chmurka kurzu. Wyjąłem z kieszeni kamień i nim zacząłem stukać. Wreszcie dorożka stanęła. Ciekawe, że nie zwolniła tak jak inne pojazdy, kiedy się mają zatrzymać. Nie, przystanęła nagle. Czekałem. Dorożka drżała. Dorożkarz wysoko, na koźle, zdawał się nasłuchiwać. A mnie się zdawało, że widzę, jakby naprawdę, konia. Stał gotowy do jazdy, z postawionymi uszami – nic z tego odrętwienia, w jakie popada na ogół przy najkrótszym postoju. Wychynałem przez okno; znowu byliśmy w ru-

chu. Znowu więc zastukałem i znów dorożka stanęła. Dorożkarz zeskoczył z kozła, rzucając przekleństwami. Opuściłem szybę, by nie otwierał drzwi. Szybciej, szybciej. Był bardziej czerwony niż zwykle, to znaczy, purpurowy. Z wściekłości albo od wiatru. Powiedziałem mu, że wynajmuję go na cały dzień. Odrzekł, że o trzeciej ma pogrzeb. Ach, ci zmarli! Oświadczyłem, że nie chcę już jechać do zoo. Nie jedźmy już do zoo, powiedziałem. Odrzekł, że wszystko mu jedno, dokąd ma jechać, byleby nie za daleko, z uwagi na szkapę. I gadają, że prości ludzie mówią jakimś specjalnym językiem. Spytałem go, czy nie zna jakiegś knajpy. Dodałem: Zje pan ze mną. W takich miejscach wolę być ze stałym klientem. Z dwóch stron długiego stołu stały dwie długie ławy. Siedząc naprzeciw mnie, opowiadał o swoim życiu, o żonie, o szkapie, po czym znowu o życiu, podłym przez rodzaj zajęcia. Spytał, czy zdaję sobie sprawę, co znaczy być stale na dworze, bez względu na pogodę. Dowiedziałem się, że są jeszcze tacy dorożkarze, którzy przez cały dzień stoją na postoju i grzeją się w dorożce, czekając aż jakiś klient dopiero stamtąd ich wyrwie. To było dobre kiedyś, ale w dzisiejszych czasach trzeba się chwycić innych sposobów, jeśli się chce coś niecoś odłożyć na stare lata. Przedstawiłem mu swoją sytuację, mówiąc, com stracił i czego poszukuję. Każdy z nas robił, co mógł, aby zrozumieć drugiego, aby być rozumianym. Zrozumiał, że straciłem lokum i potrzebuję nowego, lecz reszta mu umknęła. Uroił sobie, i w żaden sposób nie można było wybić mu tego z głowy, że szukam pokoju umeblowanego. Wyjął z kieszeni wczorajszą popołudniówkę, albo i przedwczorajszą, zaczął przeglądać w niej drobne ogłoszenia i małym ołóweczkiem – tym samym, co drżał mu w ręce, gdy obstawiał wygrane – zakreślił pięć albo sześć. Najpewniej te, które by pozakreślał, będąc na moim miejscu, lub te, co dotyczyły najbliższej okolicy, ze względu na konia. Gdybym mu zaczął tłumaczyć, że w pokoju, w którym mam mieszkać, z mebli uznaję tylko łóżko, a wszystkie inne, nawet stolik nocny, muszą być wyniesione, nim w ogóle zgodzę się wejść, jeszcze bardziej bym go skołował. Około trzeciej zbudziliśmy konia i znów ruszyliśmy w drogę. Dorożkarz zaproponował, bym

usiadł przy nim, na kozle, lecz ja od dobrej już chwili marzyłem o wnętrzu dorożki i tam też powróciłem. Jeździliśmy z miejsca na miejsce pod zakreślone adresy, zakładam, że metodycznie. Krótki zimowy dzień miał się już ku końcowi. Wydaje mi się czasem, że nie znam innych dni, a zwłaszcza innych chwil niż ta, najczarowniejsza, tuż przed nawałą nocy. Adresy, które zakreślił, a raczej zaznaczył krzyżykiem, jak czynią to ludzie prości, skreślał ukośną kreską, w miarę jak odpadały. Przekazał mi później tę gazetę, radząc, bym ją zachował, co miało mnie uchronić przed chodzeniem po miejscach, gdzie raz już byłem na próżno. Z wysoka, z miejsca na kozle, na którym siedział sam, przez zasunięte szyby i mimo turkotu dorożki i ulicznego zgiełku, dochodził mnie jego śpiew. Wolał mnie od pogrzebu, to wiekopomny fakt. „Lecz ona jest daleko od swego bohatera – od ziemi, w której śpi”, podśpiewywał i są to jedyne słowa, które zapamiętałem. Na każdym przystanku schodził z kozła i pomagał mi wyjść. Dzwoniłem do drzwi, pod które mnie prowadził, i czasem wchodziłem do środka. Pamiętam, że dziwnie się czułem znowu pomiędzy ścianami po tak długim czasie. Cekał na mnie pod domem i pomagał mi wejść do dorożki. Zaczynałem mieć go już dość. Wdrapywał się na kozioł i jechaliśmy dalej. W pewnym momencie zdarzyło się coś takiego. Przystanęliśmy. Ocknąłem się z odrętwienia i przygotowałem do wyjścia. Nie przyszedł jednak, aby otworzyć mi drzwi i podać rękę, musiałem więc wysiąść sam. Zapalał latarnie. Lubię lampy naftowe, choć są to oprócz świec i, jeśli nie liczyć gwiazd, pierwsze światła, jakie poznałem w życiu. Gdy skończył zapalać pierwszą, spytałem, czy drugą mógłbym zapalić ja. Podał mi zapalki. Otworzyłem wypukłą szybkę na zawiasach, przyłożyłem ogień i zamknąłem ją od razu, by knot mógł płonąć spokojnie i jasno w zaciszu swojego domku, chroniony przed wiatrem. Mała rzecz, a cieszy. W świetle tych latarni samiśmy nic nie widzieli, może ledwo zad konia, inni jednak widzieli je z daleka: dwa żółtawe ogniki falujące wolno w przestrzeni. Ilekroć zaprzęg skręcał, pokazywało się „oko”, czerwone lub zielone, zależy w którą stronę: wypukły romb, kanciasty i przejrzysty, jak w mozaice witraża.

Po sprawdzeniu ostatniego adresu dorożkarz zaproponował, że podwiezie mnie do znajomego hotelu, gdzie na pewno nie będzie mi źle. To ma sens – dorożkarz, hotel – to jest prawdopodobne. Polecony przez niego, będę miał wszystko, co zechcę. Pełna obsługa, powiedział, mrużąc oko. Rozmówka ta mogła się odbyć przed domem, skąd właśnie wyszedłem. Staliśmy na chodniku. Pamiętam w świetle latarni mokry zapadły bok konia i rękę dorożkarza w wełnianej rękawiczce na klamce drzwiczek powozu. Byłem od tej dorożki wyższy co najmniej o głowę. Zaproponowałem, aby coś wypić. Koń nie pił i nie jadł od rana. Zwróciłem na to uwagę woźnicy. Odparł, że koń się żywi dopiero po powrocie do stajni. Gdyby coś zjadł w czasie pracy, choćby jabłko lub kostkę cukru, rozbolełby go brzuch i dostałby koliki, przez co nie mógłby chodzić, a co mogłoby go nawet zabić. I to właśnie dlatego ściąga mu szczęki rzemieniem, gdy z jakiegoś powodu musi od niego odejść – aby później nie cierpiał przez dobre serce przechodniów. Po paru kolejkach dorożkarz poprosił mnie, abym zrobił mu zaszczyt, jemu i jego żonie, i przenocował u nich. Było to niedaleko. Gdy myślę o tym teraz, z ową słynną przewagą, jaką przynosi dystans, sądzę, że tego dnia krążyliśmy cały czas w pobliżu jego domu. Mieszkali w głębi podwórza, na pięterku, nad stajnią. Świetna lokalizacja, mnie by odpowiadała. Przedstawiwszy mnie żonie o niebywałym zadzie, pozostawił nas samych. Czuła się przy mnie nieswojo, to było oczywiste. Cóż, rozumiałem ją, nie zbywa mi na manierach. Właściwie nie ma powodu, aby to ciągnąć lub kończyć. A zatem niech się skończy. Powiedziałem, że zejdę do stajni i tam się prześpię. Dorożkarz nie chciał o tym słyszeć. Obstawałem przy swoim. Zwrócił uwagę swej żony, że na ciemieniu mam narośl. Nie miałem w tym momencie kapelusza na głowie; zdjąłem był go przez grzeczność. Powinien to sobie usunąć, powiedziała. Dorożkarz wymienił jakiegoś lekarza, którego bardzo cenił i który go wybawił od czyraków na tyłku. Jeżeli chce spać w stajni, powiedziała żona, niech śpi w stajni. Dorożkarz wziął lampę ze stołu i zaczął schodzić po schodkach, a ściślej po drabinie, wiodącej wprost do stajni, zostawiając żonę w ciemności. W kącie na ziemi,

na słomie, rozłożył końską derkę i wręczył mi pudełko zapalek, na wypadek gdybym w nocy musiał sobie poświecić. Nie pamiętam, co koń robił w tym czasie. Leżąc w ciemności, słyszałem, jak pije, nader dziwnie to brzmi, jak przemykają szczury i jak dorożkarz z żoną, przyciszonymi głosami, gdzieś w górze mnie obgadują. Pudełko zapalek trzymałem w ręce. Były to długie sztormówki. Zapaliłem w nocy jedną. Jej krótkotrwały płomień pozwolił mi zlokalizować dorożkę. Przez chwilę miałem chęć, lecz przeszło mi to zaraz, aby podpalić tę stajnię. W ciemności odnalazłem dorożkę i otworzyłem drzwiczki. Czmychnęły z niej szczury. Wszedłem do środka. Zająwszy swoje miejsce, od razu poczułem, że dorożka nie stoi równo. Nic dziwnego, dyszle leżały na ziemi. Mnie to odpowiadało, bo kładąc nogi na przeciwnym siedzeniu, miałem je nieco wyżej i mogłem się wygodnie ułożyć. W nocy niejednokrotnie czułem na sobie wzrok konia, który zaglądał przez okno, i oddech jego nozdrzy. Dziwiło go pewnie, że siedzi ktoś w dorożce, gdy nie jest zaprzęgnięta. Było mi zimno – zapomniałem wziąć derkę ze sobą – nie na tyle jednak, aby się po nią ruszyć. Przez okienko dorożki widziałem okno stajni, z czasem coraz wyraźniej. Wyszedłem w końcu z pojazdu. W stajni nie było już tak ciemno. Dostrzegłem żłób, drabinę, wiszącą uprząż, co jeszcze? Jakies wiadra i szczotki. Podeszedłem do drzwi, lecz nie dałem rady ich otworzyć. Koń nie spuszczał mnie z oczu. Czy konie nigdy nie śpią? Wydawało mi się, że dorożkarz powinien być go do czegoś przywiązać, dajmy na to, do żłobu. Musiałem więc wyjść przez okno. Nie było to łatwe. Lecz co właściwie jest łatwe? Najpierw wysunąłem głowę. Gdy jednak rękami dotykałem już ziemi na podwórzu, nie mogłem z ciasnego otworu wyswobodzić bioder. Pamiętam kępki trawy, których się chwyciłem i za które ciągnąłem, ażeby się wydostać. Powinienem był wcześniej zdjąć płaszcz, wyrzucić go przez okno i potem dopiero wyłazić, ba, lecz trzeba było o tym pomyśleć. Gdy opuściłem podwórze, przypomniałem coś sobie. No cóż, zmęczenie. Wróciłem na podwórze, wsunąłem banknot do pudełka z zapalkami i położyłem je na parapecie okna, przez które wyszedłem był, a w którym teraz stał koń. Po kilku krokach

jednak ponownie się cofnąłem i wziąłem banknot z powrotem. Zapalki zostawiłem. Nie należały do mnie. Koń w dalszym ciągu stał w oknie. Miałem go już powyżej uszu. Świtało. Nie wiedziałem, gdzie jestem⁵. Ruszyłem w stronę wschodzącego słońca, na wyczucie, by szybciej znaleźć się w świetle. Wolałbym mieć wokół siebie horyzont pustynny lub morski. Gdy jestem na dworze rano, idę naprzeciw słońcu; gdy jestem na dworze wieczorem, idę w ślad za nim, ku zmarłym⁶. Nie wiem, czemu opowiedziałem tę historię. Równie dobrze mógłbym opowiedzieć jakąś inną. I pewnie innym razem opowiem jakąś inną. Przekonacie się, żywi, jak są do siebie podobne.